

Kronika tygodniowa.

Rozpoczynający się szczęśliwie miesiąc grudzień ma to do siebie, że jest ostatnim w roku, czekamy więc niecierpliwie, aby się skończył, a z nim razem rok 1913, fatalny, bo z trzynastką w ogonie. Następca powinien się stanowczo poprawić, na co wskazywałoby obniżenie stopy procentowej przez Bank austriacko-węgierski.

Ale miesiąc grudzień ma jeszcze i inne znaczenie, poprzedza go bowiem uroczystość świętego Andrzeja, w której wigilię, według starodawnej tradycji, próbuje płeć piękna dowiedzieć się, co ją czeka w roku przyszłym. Leje się więc roztopiony ólów lub wosk na wodę, a potem bada z rozmaitych stron, jakie też kontury ma nowa figura.

Mama Austrija i córeczka jej Galicya, jako obie rodzaju żeńskiego, niewątpliwie zasięły też opinii wyroczni ólowiano-woskowej, częstokroć prawdopodobniejszej, niż nawet usta i kalendarz pani de Thébés.

Co im się w tym roku ułalo, tego nie wiem, zdaje mi się przecież, że, jak zazwyczaj, wielka figa, która dla Galicyi jest symbolem życzliwości ze strony rządu i uwzględniania przezeń krajowych postulatów, dla naszej Austrii zaś widomym znakiem mocarstwowego znaczenia i harmonii, jaka stale panuje w europejskim koncercie.

W tydzień po św. Andrzeju, odwiedza nas święty Mikołaj, który grzeczne dzieci obdarza różnymi podarkami. Nam należą się różgi, zamiast bowiem trzymać się kupy, ciągle drzemy ze sobą koty i osłabiamy się wzajemnie, a tymczasem nasi wrogowie korzystają ze sposobności i pomalenku, ale systematycznie, zabierają nam z przed nosa to, coby nam się właśnie patrzyło.

Po Mikołaju nastaje krótka pauza, po niej zbliża się Gwiazdka, więc znów sposobność do składania sobie wzajemnych i życzeń i podarunków. Te „gwiazdkowe“ życzenia mają to do siebie, iż co innego się myśli, co innego zaś mówi.

Wreszcie mamy i Nowy Rok, ale on, jako dopiero przyjść mający, spada na razie z porządku dziennego.

Przyznam się szczerze, ale proszę się ze mnie przypadkowo nie śmiać, że w bieżącym roku w wigilię św. Andrzeja, widząc rodzinę zajęta laniem wosku, który w tym celu przechowuje się z roku na rok, postanowiłem spróbować szczęścia i zasięgnąć zdania wyroczni.

Roztopiłem trochę, wylałem do wody na miednicy, wyciągnąłem i oglądam, ale się niczego dopatrzyć nie mogę. Na tem zna się lepiej płeć nadobna, podaje więc odlew mej córce.

Ta bada pod światło, wreszcie mówi:

— Ależ!... Taż to najwyraźniejsza kołyska!

To rzekłszy, spoglądała z pewnem niedowierzaniem na mnie, potem na mą czcigodną lepszą połowę. Ta jednak, widocznie nie ufając zbyt słowom, odbiera jej z rąk zagadkowy przedmiot, odwraca w jedną i drugą stronę, wreszcie, przybierając minę s. p. Pityi, konkluduje:

— Toż to przecież najwyraźniejsza kamienica!... Ot... popatrz! Tutaj komin, tu okna... tu oficyna. Byłby już czas, byś się zdobył bodaj na jaką dwupiętrową kamienicę. Ileby to można miesięcznie odłożyć, gdyby człowiek nie potrzebował płacić czynszu!

A ja jej na to:

— Moja droga! Ja i teraz czynszu nie płacę, choć nie mam kamienicy! Może księżna Luiza Koburska żyć z procentów od swych długów, ciekawy jestem, dlaczegobym i ja na to nie miał sobie pozwolić. Nie płacąc czynszu, mam jeszcze to *bene*, iż nie mnie nie kosztuje przeprowadzka, gdyż każdy kamienicznik, przynosi moje graty własnym kosztem, by się tylko przyzbyć tak miłego lokatora.

Najdowcipniejszy był mój poprzedni mieszkaniodawca, który chcąc się zemścić na swym sąsiedzie, zobowiązał mnie, że nigdzie indziej, tylko w jego rzeczywistości złożę Lary i Penaty, w przeciwnym razie nie poniesie kosztów przeprowadzki.

Złośliwym to było z jego strony, cóż jednak robić, uległem i dziś jestem z tego zadowolony, bo to człek cierpliwy i wierzący memu słowu.

Ale i jemu się wreszcie uprzykrzyło, prosił, bym mieszkał dalej, ale... o jedną kamienicę.

Wobec tego nikt się chyba nie zdziwi, że jestem z zasady wrogiem kamieniczników, a mam zresztą i inne jeszcze, nie tylko przytoczone powyżej osobiste powody.

Przykładami, jak się niektórzy z nich obchodzą z biednymi lokatorami, mogę służyć każdej chwili, na razie przytoczę tylko dwa, za których autentyczność mogę zaręczyć.

I tak, pewien pan, obciążony dziedzicznie kilku kamienicami, otrzymanymi w spadku po rodzicach, wynajmował jakieś tam partyi mieszkanie, złożone z dwu pokoi i kuchni. Wynajmująca strona złożyła zadatek i prosiła o łaskawe pozwolenie, aby jej też nie broniono przeprowadzić w mieszkaniu niektóre reparacje, odnowić okna i t. d., gdyż pan gospodarz tego nie czyni, wychodząc z zasady: Jeśli chcesz mieszkać wygodnie, to staraj się sam o to!

Malowanie i inne roboty ukończono szczęśliwie, lokator zgłasza się przed pierwszym, by się zapytać, kiedy się może wprowadzić i dowiaduje się ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że mieszkanie wprawdzie jest, ale bez kuchni. gdyż pan gospodarz wynajmował ją pewnej partyi, która na ten samem pięttrze zajęła sześć pokoi, a tej kuchni potrzebuje dla służby.

— Jakże ja będę mieszkać bez kuchni? — pyta biedak.

— Mnie o to głowa nie boli! — odpowiada kamienicznik. — To niech się pan nie sprowadza! Lokatora znajdę zawsze. Proszę mnie o to, jak o łaskę!

— Ależ ja dałem zadatek!

— To też pan ma mieszkanie...

— Nie takie jednak, jak wynajmąłem.

— Na to panu nic nie mogę poradzić!

— Dałem przecież zadatek...

— Tak się zwykle robi!

— Odrestaurowałem mieszkanie własnym kosztem! Wydałem na to kilkadziesiąt koron!

— A czy ja pana o to prosiłem?...

— Dobrze! W takim razie rezygnuję z tego mieszkania, stracę zadatek, ale proszę mi zwrócić moje koszty!

— Ani mi się śni!... Ja jestem w prawie i oświadczam, że pana zaskarżę. Musi mi pan złożyć czynsz przynajmniej za miesiąc...

Wobec uporu obu stron sprawa dostała się do sądu, kamienicznik bowiem twierdził, że słuszność jest po jego stronie i nie może narażać się na stratę, gdyby lokator nie chciał się wprowadzić.

A teraz drugi przykład.

Pewien urzędnik wynajmował mieszkanie, ale jeszcze wówczas, gdy inna partya je zajmowała i nie mógł go dokładnie oglądać. Później dopiero, gdy już było opróżnione, spostrzegł, że jest wilgotne. wobec czego oświadczył, że ani myśli narażać siebie i rodzinę i rezygnuje z niego.

— O! mój panie! Tak łatwo nie pójdzie — pan kamienicznik mu na to. — Wynajmował pan, musi pan się sprowadzić, jeśli zaś nie, to proszę zapłacić czynsz za cały miesiąc!

— Nie mogę, proszę pana! Ja mam dzieci, a teraz widzę, że tu wilgoć!

— To nie moja wina, trzeba było skonstatować to wcześniej i nie wynajmować!

— Jakże mogłem się o tem przekonać, gdy tego nie widziałem! Pod dywany i za szafy nie zaglądałem!

— Trudna rada, mój panie! Jeśli kto wynajmuje mieszkanie, powinien wszędzie zaglądać...

— W takim razie rezygnuję już z zadatku i oświadczam, że umowę uważam za niebyłą!

— E... Łatwo to panu powiedzieć, ale ja się na to nie zgodzę. Lokatorzy dybią tylko na naszą szkodę, my się musimy bronić! Wolno się panu nie sprowadzać, ale proszę mi złożyć czynsz za cały miesiąc. Niech pan będzie zadowolony, że nie żądam za cały kwartał! Inaczej zaskarżę pana i będzie pan musiał ponieść jeszcze i koszty sądowe, bo słuszność jest po mojej stronie!...

Podobnych przykładów mógłbym naprowadzić tysiące, przyznam się, że sprawia mi to przyjemność, jeśli mi się zdarzy wdać w rozmowę z takim „biednym“ kamienicznikiem, któremu brak słów na opisanie krzywd, jakie mu wyrządzają lokatorzy.

Ale też dlatego sam nie chciałbym być za żadną cenę właścicielem realności, choć wiem, że do tego nigdy nie przyjdzie, bo, jak mówi stare przysłowie: Kto się urodził do torby, ten się kuferka nie dorobi.

Gdyby jednak przepowiednia się spełniła i spadła na mnie (ale nie dosłownie!...) jakaś kamieniczna i to nie byłoby wcale pożądanem. Ja mam ogromnie miękkie serce, z pewnością od najbliższego kwartału pozniżałbym czynsze lokatorom, co znów koledzy kamienicznicy uważaliby gotowi za brudną konkurencję i, kto wie, czy nie wpakowaliby mnie „do Czubków“.

I tak więc źle i tak nie dobrze!

Na świętego Mikołaja dostaniemy jednak w każdym razie prezent, a będzie nim sejm krajowy, który zwołano nareszcie na dzień piątego grudnia. Potrwa zaledwie pięć dni, wystarczy to przecież na porządne wzięcie się za rby, bo na to się zanosi.

Czy reforma wyborcza ujrzy światło dzienne, w to należy wątpić, choć z drugiej strony niemowlę, które przyszło na świat w roku feralnym, bo z ona

paskudną trzynastką w ogonie, nosiłoby w sobie zarodek pechowości. Lepiej więc odłożyć ją na rok 1914., który według przepowiedni pani de Thébés ma być przecież rokiem promiennym.

Może więc część tych jego, nazwijmy je X-promieni, spłynie i na naszych polityków i oświeci ich mózgowicę, bo czas już, by nastąpiła w kraju zgoda i normalne stosunki. Jeżeli sejm galicyjski okaże się niezdolnym do pracy, pociągnie to za sobą dalsze, wcale niemiłe konsekwencje, bo unieruchomienie, a może nawet i rozwiązanie parlamentu, czyli, innymi mówiąc słowy, otrzymalibyśmy na gwiazdkę paragraf czternasty.

Delegacje pracują w dalszym ciągu.

Pan minister od spraw zagranicznych, ekszellenca Berchtold, wygłosił swe *exposé*, w którym przecież zapomniał o najważniejszej kwestyi, bo o terytoryalnych zdobyczach, jakie monarchia poczyniła w czasie ostatniego przesilenia bałkańskiego.

Kosztem miliarda koron, jaki wydano na zbrojenia, nabyliśmy przecież wyspę Ada Kaleh!

Delegaci polityką tą nie byli zbyt zachwyceni, to też z trudnością tylko udało się hr. Berchtoldowi przeprowadzić uchwałę, przyznającą mamie Austrii dwa miliony koron „na szpilki“.

Jest to tak zwany fundusz dyspozycyjny, czyli gadzinowy na jego osobiste wydatki. Za te pieniądze powinien nabyć lornetkę, by mógł się przypatrywać, jak Serbowie zdążają ku morzu, od którego Austrija starała się ich odepchnąć.

Jak donoszą polityczne pisma angielskie, między Serbią, a Czarnogorą zawartą będzie nie tylko unia słowa, ale i specjalna konwencja, na mocy której oba państwa będą miały wspólną armię i wspólne ministerstwo spraw zagranicznych, czyli, że będzie to pierwszy krok do utworzenia Wielkiej Serbii, czemu hr. Berchtold starał się zawsze przeszkadzać i co, jak nam się zdawało, wydawało, nawet mu się poszczęściło.

Serbia otrzymałaby jako własność port Antiwari, a zatem bezpośredni dostęp do morza Adryatyckiego. Utworzenie niezależnej Albanii zrobiło więc *fiasco*. Jeśli spełnią się te przepowiednie, austriacka polityka na Bałkanie poniesie zupełną porażkę.

Jadą więc Serbowie do morza, a król Ferdynand do Bułgarii, aby zadać kłam wieściom o detronizacji lub abdykacji. Nos jego spuszczone jest lekko „na kwintę“, paryski „Matin“ zrobił mu bowiem niedźwiedzią przysługę, publikując treść ugody serbsko-bułgarskiej, na podstawie której, on, udający przyjaciela Austrii, zobowiązał się wypowiedzieć jej wojnę, gdyby napadła na Serbię lub wkroczyła do Sandżaku. Jak się z tego okazało, car Symeon prowadził politykę dwulicową, ale też wyszedł na niej, jak ongiś Zabłocki na mydle. Z początku sądiliśmy, że on majster, dziś widzimy, że on tylko fuszer!

Lwów
Jagiellońska 15.
Nowo wykwintnie urządzone
CUKIERNIA BIENIECKIEGO
LOKAL WSPANIAŁY
POLECA: znalomiła kawę, herbatę, ciasta, owoce
Lody, chłodniki, cukiernie, konfitury.
Przyjmuje zamówienia i na prowincję.
Jagiellońska 15
Lwów



Idealem Pań, jest mieć piękną karnację i cerę matową i arystokratyczną, oznakę prawdziwej piękności. Ani zmarszczek, ani wyrzutów, ani czerwoności, wygląd zdrowy i piękny, takie daje rezultaty przy użyciu *Crème Simon*, pudru i mydła *Simon*. Żądać tylko prawdziwej marki.

54

RIZ ABADIE

Tutki :: św. Jerzego

— poleca —

Société Abadie w Paryżu.